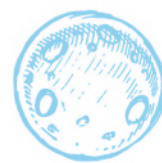


WIELKIE OKAZANIE

Czyli emocjonująca opowieść o tym, jak geodeta Serafin potykał się z klonami i wszedł w posiadanie diamentowej rakiety

Damian Czekaj



Na desce rozdzielczej rozjarzyła się czerwona kontrolka w kształcie trupiej czaszki. Sygnalizowała wzrost poziomu promieniowania na zewnątrz. Posadziłem więc raketę tuż przy wejściu do ośrodka, na platformie obrysowanej pomarańczowymi światłkami pozycyjnymi – miejscu dla inwalidów, niehumanoidalnych obcych i wyższych rangą oficjeli.

Słońce zaczęło pluć cząstkami przenikliwymi wcześniej, niż prognozowano. Zakląłem, myśląc o nowym lakierze raketowym ledwie wczoraj utwardzonym. Oczyma wyobraźni widziałem już brzydkie spęknięcia na grafenowej powierzchni statku, choć lakiernik zapewniał mnie żarliwie, bijąc się przy tym w pierś, że jego farby nie zedrze nawet wybuch bomby wodorowej. Stary szuler.

Wcisnąłem na głowę hełm, włożyłem rękawice, teczkę z papierami przewiesiłem przez ramię. Otworzyłem służbę i pognąłem do PODGiK-u.

– A pan znowu wpada, jakby sam diabeł gonił! – westchnęła zza biurka pani Basia, kręcąc głową. – Pyłu pan naniósł...

– Prosto z roboty – bąknąłem, uwolniwszy się z hełmu.

Włożyłem hełm i rękawice do próżniarki. Maszyna zaterkotała, niszcząc brud, wirusy i inne drobnoustroje. Pani Basia, skryta za rozmigotaną taflą pola siłowego, z nową barokową fryzurą, co zauważyłem, ale postanowiłem nie komentować, popatrywała na mnie z uwagą, odhaczając w głowie kolejne punkty wymyślonego przez siebie regulaminu PODGiK-u. Potknij się choć raz – „Nie, nie, nie! Do podajnika najpierw operat, później faktura za dostarczone dane!” – a niczego nie załatwisz.

– Strasznie się pan dzisiaj guzdrze. To przez to promieniowanie, tak? – Oszczędnym ruchem ręki dała mi znać, że mogę usiąść.

Pani Basia była zdenerwowana, z czego dopiero teraz zdałem sobie sprawę. Wertowała kolejne strony operatu, zaciskając usta w wąską kreskę, jakby nie podobały jej się któreś z moich obliczeń.

Przejrzałe dokumenty rzuciła niedbale na blat biurka wielkiego jak kosmiczny liniowiec. W końcu jednak zebrała rozsypane kartki, spięła je klipsem magnetycznym i włożyła do przegródki z przyjętymi robo-

tami. Odetchnąłem z ulgą. Powiedziała, że wprowadzanie danych do bazy zajmie kilka tygodni; wtedy też mogę spodziewać się pieniędzy.

Zapytałem o nową robotę.

– W tej chwili mam tylko jedną – rzuciła szybko. – Bierz pan?

Poprosiłem o szczegóły.

– Wybredny się pan zrobił, choć słyszałam, że w innych PODGiK-ach krzywo na pana patrzą. Mówię, że to jedyna robotka, a pan, że szczegóły. Zwykle wytyczenie i okazanie granic stronom. Duża inwestycja gdzieś na Zapasiu – za Pasem Asteroid Kunellego. Zgłoszenie opłacone, licencje już wystawione. Może pan brać papiery i lecieć. Pracę zgłoszono tutaj, panie ciekawski, bo Zapasie nie ma swojego PODGiK-a, a właściciel nieruchomości mieszka w Warszawie i wiele dobrego słyszał o naszym ośrodku.

Zgodziłem się; obecnie nie mogłem przebiegać w zleceniach. Z podajnika wyciągnąłem dokumenty dotyczące nowej pracy. Chciałem je szybko przejrzeć, jeszcze przed wyjściem. Niepokoiło mnie zachowanie pani Basi – spod zwykłej zgryźliwości nadal przebijała nerwowość.

Zdążyłem tylko zerknąć na pierwszą stronę, gdy pole siłowe odgradzające mnie od trzewi PODGiK-u zmatowiało i zaczęło ciemnieć, kryjąc panią Basię. Chwilę potem na czarnej już powierzchni zabłysnął napis „Ponadplanetarny Ośrodek Dokumentacji Geodezyjnej i Kartograficznej, Oddział Warszawa-Książęca nieczynny do odwołania”.

* * *

– Niesamowite.

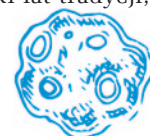
Tomasz Bojkot¹, wyraźnie urzeczony, śledził ruch ołówka po papierze.

– Nie sądziłem, że kiedykolwiek zobaczę je... w użyciu. I to w rękach inżyniera.

– Wiele lat temu wywalczyliśmy sobie przywilej papieru, jak to nazywamy. Gdy inni zachłysłni się kodowaniem zerojedynkowym i siecią, nam nadal zdarza się wykorzystywać tradycyjne formy zapisu.

– Musicie być z tego dumni. Setki lat tradycji, prawda?

Wzruszyłem ramionami.





– Nie zastanawiałem się nad tym.

Tomasz Bojkot¹, mężczyzna około czterdziestoletni, postawny, z fantazyjnie podkreślonym wąsem, zaprosił mnie do swojego biura na szczycie wieżowca w centrum miasta. Skontaktowałem się z nim zaraz po wyjściu z ośrodka i – z trudem zachowując spokój – wyjaśniłem, że zajmę się jego sprawą. Chyba wyczuł w moim głosie napięcie, bo zasugerował spotkanie jeszcze tego samego dnia.

– Poradźmy sobie – zapewnił mnie, nim przerwałem połączenie.

Godzinę później siedziałem już wygodnie w fotelu w biurze Tomasza Bojkota¹; na szerokim podłokietniku umieściłem notes, ołówek i szklankę ze słabym drinkiem. Po lewej stronie za przeszkloną ścianą jak sople w słońcu skrzyły się wieżowce dzielnic biznesowej. Krążyły wokół nich czarne kropki rakiet, co chwilę przyciągając mój wzrok.

Nie był pierwszym multiplikantem, którego poznałem, ale zdecydowanie najbardziej rozbudowanym. Tomasz Bojkot¹ posiadał 46 klonów, które krótko po wykluciu obdarzył osobowością prawną; każdy z nich, zgodnie z Traktatem o Klonach, zyskał wówczas niewielką część jego majątku.

– Prowadzę działalność w kilkunastu układach. Pomyślałem, kto lepiej niż ja sam zadba o moje interesy?

Uprzejmie przytaknąłem, choć mnie myśl o stanięciu oko w oko z samym sobą napawała grozą.

Zresztą Tomasz Bojkot¹ dość szybko pożałował swojej decyzji. „Współpraca układała się źle” – powiedział mi, nie wdając się w szczegóły. Kolejne kłony opuszczały jego firmę, a on cierpliwie skupował ich udziały w korporacji i nieruchomościach.

– Użeram się jeszcze z dwudziestoma. Żaden z nich już dla mnie nie pracuje, ale łącznie dysponują 3% udziałów w firmie i kilku nieruchomościach, w tym w kawałku przestrzeni za Pasem Asteroid Kunellego, który chciałbym sprzedać. Inwestor planuje przyholować tam asteroidy, osadzić w nich samowystarczalne habitaty. Kłony nie mogą zablokować samej transakcji ani, nie posiadając większości, zakwestionować pana pomiarów, ale jako współwłaściciele nieruchomości muszą co do jednego pojawiać się na okazaniu granic. Tak stanowi prawo Zapasia.

Śluchałem go coraz bardziej znudzony; większość z tego, co mówił, zdążyłem już wyczytać z dokumentów, które otrzymałem w PODGiK-u. Sprawa tylko z pozoru wydawała się prosta. Przekonanie do stawienia się w terenie wszystkich 21 współwłaścicieli nieruchomości niedarzących się przesadną sympatią nie będzie łatwe, o ile w ogóle możliwe. W drodze do biura Tomasza Bojkota¹ poszperałem chwilę w sieci; mój klient to kawał kanalii, podobnie jak jego kłony.

– Pan zdaje sobie sprawę, że mogę ich wszystkich nie zebrać.

Tomasz Bojkot¹ poweselał, jakby czekał na tę moją uwagę.

– Nie śledzi pan chyba na bieżąco zmian w prawie.

– Uśmiechnął się, patrząc na mnie przez różowe szkło szklanki o fasetkowym szlifie.

Poczułem się lekko dotknięty – w ostatnich latach prawie nic innego nie robiłem, tylko próbowałem rozgryźć coraz to nowe przepisy i przyswoić kolejne instrukcje.

– Od przyszłego tygodnia geodeta realizujący pracę w granicach Zapasia zyskuje uprawnienia niższego stopniem funkcjonariusza policji. Tych, którzy nie zechcą stawić się dobrowolnie, aresztuje pan i doprowadzi na okazanie granic siłą. – Przepiódł do mnie i jednym haustem opróżnił szklankę.

– Nie sądzę, żeby udało mi się kogoś aresztować – zacząłem ostrożnie, nie wiedząc, czy ze mnie nie kpi. – Wolno biegam, a na przeszkoleniu wojskowym raz postrzeliłem instruktora.

– Podoba mi się pana poczucie humoru – odparł Bojkot¹. Podszedł do dużego barku w rogu pomieszczenia i nalał sobie

whisky. Wskazał na moją szklankę z bursztynowym trunkiem na dnie, ale pokręciłem głową. – Zostanie panu przydzielony specjalny funkcjonariusz albo dwóch. To oni zajmą się brudną robotą. Proszę przeczytać ostatnią uchwałę Rady Zapasia, tam pan znajdzie szczegóły. Najważniejsze, że wszystkie kłony, o ile wiem, znajdują się w układach, które mają podpisane z Zapasem korzystne umowy o aresztowaniach. Oczywiście korzystne z naszego punktu widzenia – umożliwiające ściganie.

– Jak łowca niewolników – rzuciłem cierpko.

Tomasz Bojkot¹ ze śmiechem ponownie rozparł się w fotelu.



* * *

Burek miał przeszło dwa metry w kłębie, ciało pokryte lśnącymi oleściami kolcami i pysk przypominający wielki zszywacz do papieru. Wyrznął z impetem w furtkę, nim zdążyłem wduśnić przycisk dzwonka. Od uderzenia zadrżała cała szklana kopuła; po zakrzywionych ścianach z łoskotem spłynęły grube tafle lodu, odsłaniając skrytą pod czaszą działkę z domem. „NAZYWAM SIĘ BUREK I JESTEM PRZY FURTCE W 2 SEKUNDY, A TY?” – informowała zgodnie z prawdą oszroniona żółto-czerwona tabliczka. Bydlę awanturowało się dobrych kilka minut, zawzięcie orząc pazurami podstawę kopuły, nim w głębi posesji na ganku pojawił się jakiś mężczyzna i coś krzyknął. Wtedy Burek przysiadł na zadnich łapach i zaczął trząść się jak w febrze. Z pyska ciekła mu gęsta żółtawa ślina.

– Wśród przodków genetycznych ma chihuahue i welociraptora – wyjaśnił mi później Tomasz Bojkot⁸. – Całkiem stabilna hybryda, czasem nawet obcym daje się pogłaskać.

Zapytałem go o brzydką ranę na policzku. Wyglądała na świeżą – ogniście czerwona lśniła od gorączki.

Machnął ręką, jakby po prostu zaciął się przy goleniu.

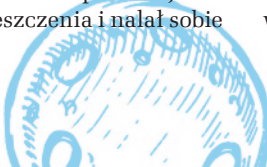
– Znajomy chirurg się tym zajmie. Dwa dni temu niechcący nastąpiłem Burkowi na ogon.

Oczywiście przyjąłem tę robotę. Tomasz Bojkot¹ dawał pieniądze, jakich w życiu nie widziałem na oczy. Jak mogłem odmówić? Obiecał mi także zwrot wszystkich kosztów, więc, nie czekając na wejście w życie nowych przepisów, postanowiłem polecieć na Plutona. Mieszkał tam na lodowym pustkowiu pod samotną kopułą jeden z klonów; Bojkot¹ dał mi listę z adresami całej dwudziestki. Pomyślałem, że nie zaszkodzi porozmawiać, a może uda się uniknąć tej farsy z aresztowaniami. Zdaniem kolegów wcale niezły ze mnie negocjator.

Kilka tygodni temu na Ganimesie uchroniłem Marka przed kalectwem. Tyczyliśmy fundamenty pod nowy blok gazoportu, kiedy Marek zawołał nagle: „Patrz na tamtą ścianę, całkiem krzywa!”. Pech chciał, że usłyszeli go dwaj przechodzący obok budowlańcy. Uwaga mojego kolegi musiała ich dotknąć do żywego, a może po prostu mieli gorszy dzień i szukali okazji do zwady. Skutek był jednak taki, że warcząc z głębi piersi, ruszyli na Marka, poszturchując się wzajem łokciami dla zachęty. Jeden szerszy od drugiego, twarze płaskie i zbrązowiałe od palników plazmowych, pięści wielkie jak bochny. „Już się witałem z urazówką” – wyznał mi później Marek. Niewiele myśląc, zastąpiłem budowlańcom drogę. „Kolega się pomylił, widzicie?” – zaśmiałem się nerwowo i szturchnąłem tachimetr. „Sprzęt mu się całkiem rozpozomował!”. Patrzyli na mnie chwilę spod byka; w końcu jeden splunął w ganimedejski pył i odeszli. Jeszcze długo nogi miałem jak z waty.

Z klonami powinno pójść łatwiej.

– Nie lubię gości, nie ufam obcym – powiedział Tomasz Bojkot⁸, kiedy skończyliśmy już rozmawiać o Burku. Zamknął go w budzie, a mnie zaprowadził na taras za domem. Kilka kro-



ków od miejsca, w którym usiedliśmy, zaczynał się kobierzec żółtych i niebieskich kwiatów. – A już szczególnie nie ufam tym, opłacanym przez Pierwszego. – Domyśliłem się, że mówi o Tomaszu Bojkocie¹ i... o mnie.

– On chce nas zniszczyć, wie pan? – kontynuował Bojkot⁸. – Nie może znieść myśli, że utracił kontrolę nad naszym życiem. Pan tak nie patrzy kpiąco, to prawda, znam Pierwszego lepiej... – urwał z uśmiechem na ustach. – Tak, nadał nam osobowość prawną, bo nie miał innego wyjścia. Tylko tacy mogliśmy mu się do czegoś przydać. Ale zrobił z nas niewolników. Zamiast łańcuchów absurdalnie zawile umowy. Wykupiłem 300 godzin pracy komputera kwantowego, żeby wyrwać się z tej matni. Żadna z organicznych kancelarii prawnych nie była w stanie mi pomóc. Wykładali się po kilku paragrafach.

Nie rozpoznałbym w nim na ulicy klona Tomasza Bojkota¹. To przez brak wąsów i cięcie na policzku. W moich oczach podczas tej krótkiej rozmowy był właśnie tym – brakiem wąsów i raną, inne cechy nie zdołały się przebić i utkwąć w pamięci, widocznie patrzyłem różnicowo.

– Zatem żadnych układów z Pierwszym.

– To ja wzywam strony i odpowiadam za właściwy przebieg procedury, nie... Pierwszy. Takie są przepisy. Poza tym otrzyma pan odpowiadający udziałom procent za sprzedaż nieruchomości.

– Nie zależy mi na pieniądzach. Tu nie chodzi o sprzedaż, tylko o nas. Radzę się panu wycofać, Pierwszy to niebezpieczny człowiek.

– Skoro tak – postanowiłem podejść go z innej strony – to może lepiej zgodzić się na tę transakcję, pozbyć reszty udziałów, uwolnić się w końcu.

Wzrok mu stwardniał, a twarz pobladła. Opuchła rana zdawała się pulsować jak opita krwią pijawka.

– Poinformuję moich braci, że pan u mnie był. Niech wiedzą, że Pierwszy coś knuje. Lecąc do nich, straci pan tylko czas.

Odprowadził mnie do wyjścia. Za kratą budy chrapał Burek.

– To nic osobistego – powiedział, gdy zapinałem skafander. Następnie, ścisząc głos, jakby zdradzał mi sekret, dodał: – Jest tylko jeden sposób, żeby uwolnić się od Pierwszego – przepisanie się na nowy genotyp.

Na zewnątrz uderzył we mnie wiatr i drobinki lodu. Gdyby nie rzadka atmosfera i temperatura grubo poniżej -100°C, ściągnąłbym kask, szukając chłodu. Tak bardzo paliła mnie twarz.

Wsiadając do rakiety, zauważyłem pierwsze spęknięcia na karoserii.

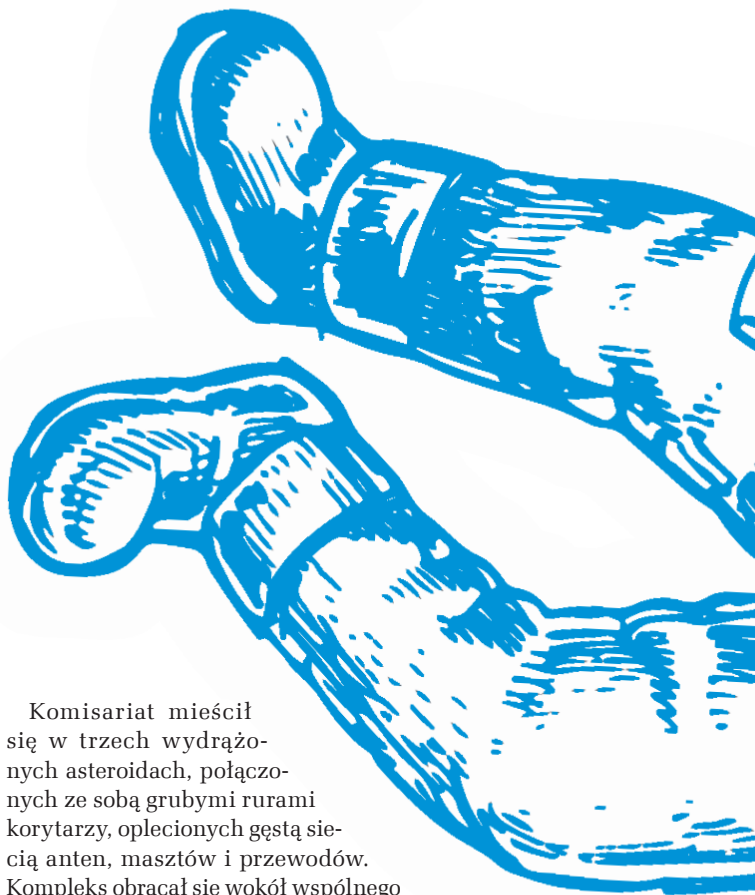
* * *

Zapasy to kilka tysięcy brył skalnych rozsianych rzadko wzdłuż Pasa Asteroid Kunellego; skrajne habitaty dzieliła odległość dwóch parseków. Obszar ten rozwijał się prężnie od dwóch dekad, kiedy to w pobliżu odkryto Trakt – lokalne rozrzedzenie czasoprzestrzeni pozwalające na szybsze osiągnięcie prędkości przeskoku. W Układzie Sol rozpędzenie rakiety do przejścia w nadprzestrzeń zajmowało mi godzinę, na Trakcie – kilka minut; niesamowita oszczędność paliwa. To i łatwy dostęp do kluczowych surowców w Pasie Asteroid Kunellego spowodowało, że w krótkim czasie Zapasy wyrosło na jeden z czołowych ośrodków przemysłowych w tej części galaktyki.

Po tym, jak złożyłem dokumenty w Wydziale Geodezji Urzędu Cywilnego, skierowano mnie na najbliższy komisariat policji. Wcześniej pani urzędniczka, zobaczywszy moje zlecenie, listę osób do wezwania, pokręciła głową i ciężko westchnęła.

– Może stawia się po dobroci. Jeśli nie, to nawet z policjantem nieźle się pan narobi. Te odległości, każdy w innym układzie, prawda? – zapytała, zerkając na adresy.

Tylko skinąłem głową.



Komisariat mieścił się w trzech wydrążonych asteroidach, połączonych ze sobą grubymi rurami korytarzy, oplecionych gęstą siecią anten, masztów i przewodów. Kompleks obracał się wokół wspólnego środka masy, generując wewnątrz szczątkową grawitację. Osadziłem raketę w jednym z wolnych doków. Czekał tam na mnie drobny funkcjonariusz przed trzydziestką, całkiem łysy, pozbawiony brwi i rzęs oraz choćby odrobiny gustu. Twarz miał wymalowaną jak tygrys – pomarańczową w czarne pręgi. Uśmiechał się jednak serdecznie, czym przypominał bardziej domowego kociaka niż wielkiego azjatyckiego drapieżnika.

– Witam pana hamulcowego! – Uściśnął mi z entuzjazmem dłoń.

– Zaszła chyba pomyłka. Nazywam się...

– Nie, nie! To taki nasz tutejszy żart. Pan geodeta, prawda?

– Zgadza się.

– Czekałem na pana. Starszy posterunkowy Nomad gotowy do misji! – Zasalutował mi, jasna cholera. Wyprężył się jak struna i przytknął dłoń do tygrysiego czoła. Jęknąłem mimowolnie.

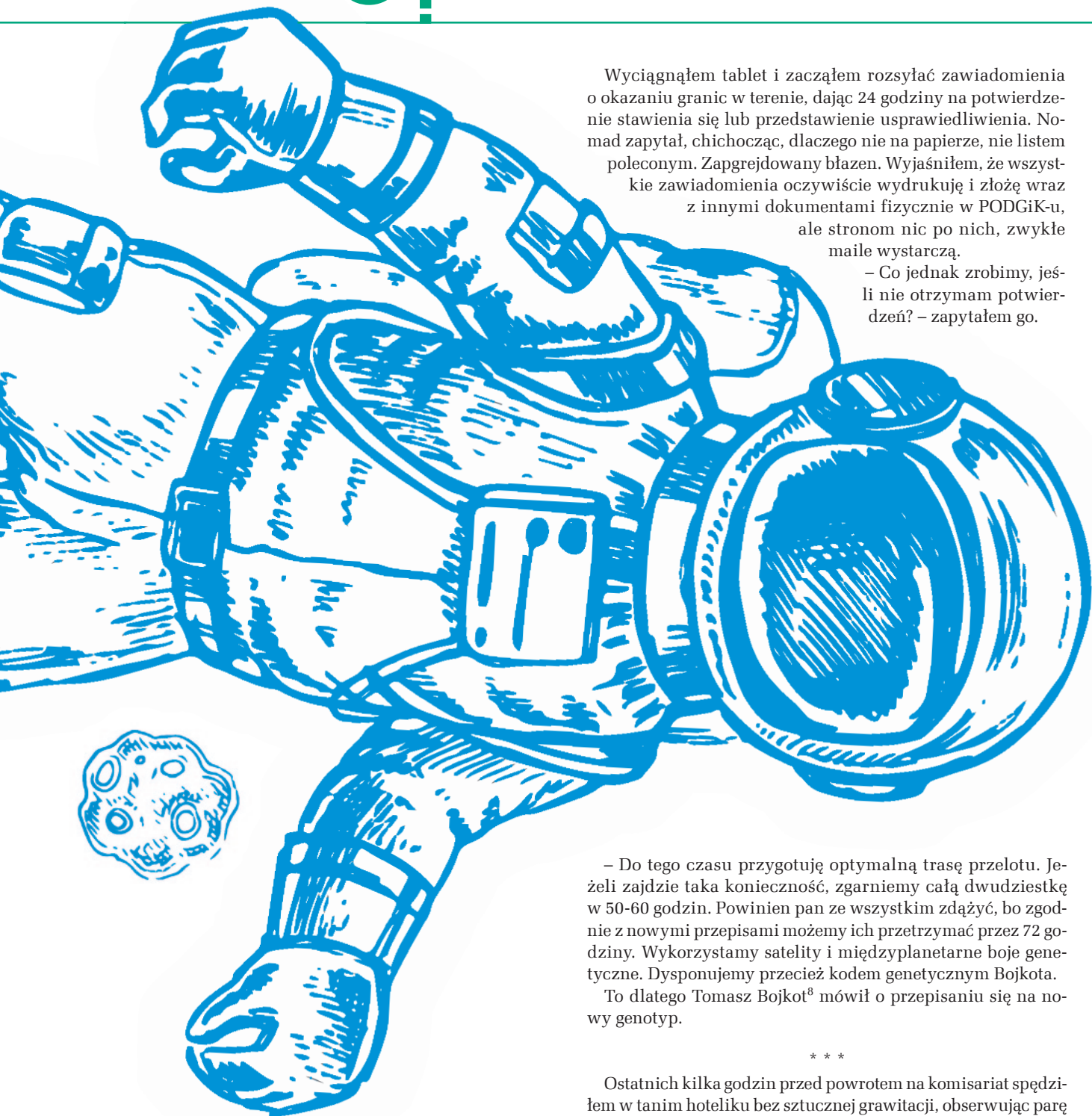
Poszliśmy do mesy pełnej mundurowych. Śmierdziało w niej przypaloną jajecznicą i przepoconymi skarpetkami. Nomad zamówił dwie kawy.

– Dlaczego hamulcowy? – zapytałem. Zajęliśmy jeden z ostatnich wolnych stolików.

– Nie chciałem pana obrazić, ale sam pan musi przyznać, że w dobie inteligentnych konstrukcji krystalicznych i autonomicznych kontenerów z botami budowlanymi procedury geodezyjne pozostają nadzwyczaj uciążliwe. Uniemożliwiają szybką budowę, co dla dynamicznie rozwijającego się Zapasia stanowi nie lada problem. Stąd ta ostatnia nowelizacja. Miała przyspieszyć i uprościć proces inwestycyjny.

– To dlaczego nie zrezygnowano ze stawiennictwa w terenie wszystkich współwłaścicieli? Moją robotę bardzo by to uprościło.

– Ponoć na pewnym etapie padała taka propozycja, ale OPZ ją zablokowała. Wie pan, PODGiK-i i cała geodezja podlega bezpośrednio Organizacji Planet Zjednoczonych, a tam na górze boją się realnych zmian. Ich zdaniem ośrodki stoją na



Wyciągnąłem tablet i zacząłem rozsyłać zawiadomienia o okazaniu granic w terenie, dając 24 godziny na potwierdzenie stawienia się lub przedstawienie usprawiedliwienia. Nomad zapytał, chichocząc, dlaczego nie na papierze, nie listem poleconym. Zapgrejdowany błazen. Wyjaśniłem, że wszystkie zawiadomienia oczywiście wydrukuję i złożę wraz z innymi dokumentami fizycznie w PODGiK-u, ale stronom nic po nich, zwykle maile wystarczą.

– Co jednak zrobimy, jeśli nie otrzymam potwierdzeń? – zapytałem go.

– Do tego czasu przygotuję optymalną trasę przelotu. Jeżeli zajdzie taka konieczność, zgarniemy całą dwudziestkę w 50-60 godzin. Powinien pan ze wszystkim zdążyć, bo zgodnie z nowymi przepisami możemy ich przetrzymać przez 72 godziny. Wykorzystamy satelity i międzyplanetarne boje genetyczne. Dysponujemy przecież kodem genetycznym Bojkota.

To dlatego Tomasz Bojkot⁸ mówił o przepisaniu się na nowy genotyp.

* * *

Ostatnich kilka godzin przed powrotem na komisariat spędziłem w tanim hoteliku bez sztucznej grawitacji, obserwując parę karaluchów wirującą pod sufitem. Nie zmrużyłem oka. Wcześniej pokręciłem się chwilę po Zapasiu. Zajrzałem do dwóch lokali poleconych mi przez Nomada; on sam, pozostając na służbie, nie mógł mi towarzyszyć. Szybko jednak znudziła mnie głośna muzyka i natrętne kelnerki wystylizowane na harpie i syreny. Wynająłem pokój w hotelu, gdzie, leżąc przywiązany do pryczy, czekałem na odpowiedzi od zawiadomionych. Z klonów odezwał się jedynie Tomasz Bojkot¹³; napisał: „Goń się, frajerze!”.

Starszy posterunkowy Nomad tylko wzruszył ramionami, gdy mu o tym powiedziałem. Znalazłem go na komisariacie w doskonałym humorze. Oczy mu błyszczały z podniecenia jak dziecku, które widzi budkę z lodami. Była to jego pierwsza tego typu misja, a w ogóle się nie przejmował. Musieli go nieźle naświecić.

– Czy Bojkot może w jakiś sposób zaszkodzić tym klonom? – zapytałem Nomada, kiedy duży autonomiczny okręt więziony z nami na pokładzie wyrwał się z policyjnego doku. Zrela-

straży zrównoważonej i kontrolowanej zabudowy, zapobiegają wynaturzeniom przestrzennym. Mnie to nie przekonuje. Obowiązuje nas rozwiązanie wprowadzone kilkadziesiąt lat temu, a teraz już tylko absurdał. Zapasie poprawia, co może.

Nomad nagle zamrugał nerwowo i poprawił się na krześle, jak wyrwany z transu. Posłał mi przepraszające spojrzenie.

– Zapewne przykro panu tego wszystkiego słuchać. Nie powinienem...

– Zdążyłem przywyknąć. Sporo pan wie o geodezji – zauważyłem.

– Trochę się naświeciłem, kiedy otrzymałem pana sprawę. – Postukał się palcem w skroń, a w lewym oku rozbłysła mu czerwona dioda interfejsu mózgowego. To dlatego mówił trochę jak automat. Musiał ciągle zasysać nowe dane; przecież dopiero co zarejestrowałem się w Urzędzie Cywilnym.

cjonowałem mu rozmowę z Tomaszem Bojkotem⁸. Nomad powiedział, że niepotrzebnie tak wcześnie zdradziłem się z całą sprawą. Klon był zaskoczony moim najściem, co zdaniem posterunkowego dowodziło, że Bojkot¹ chciał jak najdłużej utrzymać transakcję w tajemnicy. Zapewne bał się, że klony spróbują do niej nie dopuścić.

– Czy Pierwszy może im coś zrobić? – Nomad zmarszczył pasiaste czoło. – Wydaje mi się, że nie. Przynajmniej nic zgodnego z prawem Zapasia. Na działania niezgodne z prawem z kolei ja nie pozwolę.

Wnętrze statku zalała feeria barw. Przed nami na tle czarnej pustki kosmosu jaśniał Trakt – opalizujący kolorowo jak benzyna na kałuży. Urzeczon, wpatrywałem się w iluminator.

Nie sądziłem, że wszystko pójdzie tak gładko; było to takie... przerażające. Po wyjściu z nadprzestrzeni Nomad logował się do lokalnej sieci satelitów i boi genetycznych i wgrzywał genotyp Bojkota¹. System po kilku minutach zwracał mu lokalizację poszukiwanego z metrową dokładnością. Klony nie posiadały praw do kodu genetycznego oryginału, a tym samym własnego, więc nie były w stanie go zastrzec.

Nomad wyposażony we wszystkie możliwe zezwolenia mógł dostać się wszędzie, otworzyć każde drzwi. Kieszenie munduru wypchane miał sprzętem o niemówiącym mi wiele wyglądzie, z którego korzystał ze znanstwem, zawsze sięgając po najwłaściwsze w danym momencie ustrojstwo. Większość klonów, widząc funkcjonariusza policji z nakazem zatrzymania, pokorniała i szła do więźniarki dobrowolnie. Z kilkoma wywiązała się szarpanina, padły ostre słowa, jednego – Tomasza Bojkota³⁴ – Nomad sparaliżował, skulił i zarzucił sobie na plecy; mój drobny posterunkowy musiał mieć wzmocniony operacyjnie szkielet.

Niemal przez całą drogę powrotną jeden z klonów walił czymś w dzielącą nas gródź.

– Wygląda pan tak, jakby za chwilę miał się rozpląkać – zauważył Nomad. – Są bezpieczni, nie mogą sobie zrobić krzywdy.

Wtedy to obiecałem sobie: nigdy więcej robót na Zapasiu.

* * *

Nieruchomość Tomasza Bojkota¹ miała blisko 3 tysiące kilometrów sześciennych. Do jej wyznaczenia potrzebowaliśmy 177 znaczników – niewielkich antygravitacyjnych kulek, które po zdefiniowaniu układu i nadaniu współrzędnych same zawisały w docelowym miejscu.

Ze wszystkich stron nieruchomość otaczała przestrzeń będąca własnością firmy, z którą Bojkot¹ właśnie miał podpisać umowę sprzedaży. Nabywcę reprezentowała pełnomocnik zarządu Martyna Piqo. Ubrana w połyskujący metalicznie zielony kombinezon pojawiła się na pokładzie okrętu więziennego kilka minut przed ustaloną godziną. Porozmawiała chwilę ze mną (zapytała, jak będzie wyglądał pomiar) i z Nomadem; Tomasz Bojkot¹ się spóźnił. Mijając służę, za którą mieścił się areszt i klony, dyskretnie odwróciła wzrok. Wydawała się spięta; za wszelką cenę próbowała nie dać po sobie poznać, co myśli o całej tej sytuacji.

Rakieta, którą przybył Tomasz Bojkot¹, okazała się sporo większa od zapaskiej więźniarki. Okręty szczyły się ze zgrzytem. Mój klient wpadł do głównego pomieszczenia statku więziennego jak burza; towarzyszyło mu kilku mężczyzn w czarnych garniturach i okularach przeciwsłonecznych. Powiedział mi tylko „Świetna robota!”, poklepał po plecach, a następnie przeproszącym gestem wskazał na słuchawkę w uchu; zaczął z kimś rozmawiać o cenach żywca na Marsie. Jeden z asystentów Bojkota¹ powiedział, że mogą zaczynać.

Samym pomiarem zainteresowana była tylko Martyna Piqo. Z uwagą wpatrywała się w wielki hologram, na którym zapa-

ły się kolejne pomarańczowe światełka – to znaczniki osiągały wyznaczone im w przestrzeni punkty załamania granic. Tomasz Bojkot¹ w pewnym momencie zniknął w kajucie z klonami; wziął ze sobą Nomada. Obawiałem się wybuchu jakiegś awantury, było jednak spokojnie. Może to zasługa starszego posterunkowego i jego ultranowoczesnych środków przymusu bezpośredniego.

Skupiony na kodowaniu kolejnych znaczników nie spostrzegłem okrętu, który pulsującą plamką wykwił na radarze.

– Spodziewamy się kogoś jeszcze? – Martyna Piqo podeszła do konsoli i zaczęła sprawdzać sygnaturę nowego statku. – To okręt medyczny, własność prywatnej kliniki CloneMed. – Spojrzała na mnie z niemym oskarżeniem w oczach, jakbym miał z tym coś wspólnego.

Wrócił Tomasz Bojkot¹ z Nomadem.

– To po klony – powiedział Bojkot¹, podkreślając węża.

Złapałem Nomada za ramię i odciągnąłem go na bok.

– Mówiłeś, że nie może im nic zrobić! – wysyczałem.

– To nie ma nic wspólnego z prawem Zapasia. – Strząsnął moją rękę. – Te klony są nadal objęte gwarancją.

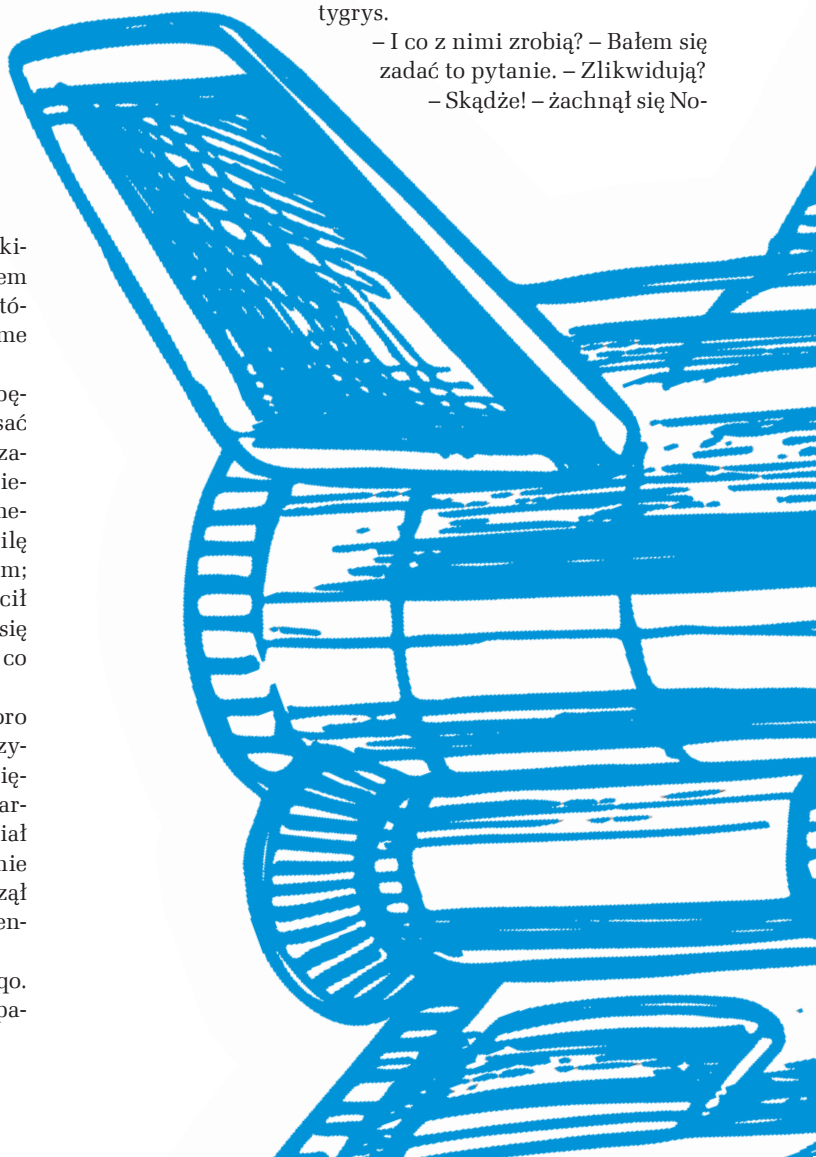
– Co?!

– Są na gwarancji. To bardzo droga usługa, nie pomyślałem... Nawet klony nie wiedziały, że Bojkot Pierwszy ją wykupił. Nadanie osobowości prawnej nic tu nie zmienia. Bojkot zgłosił, że klony świadomie złamały prawo, nie zgodziły się stawić na okazaniu granic, przez co zostały aresztowane. Klinika uznała jego argumentację, zgodziła się, że to niepożądane zachowanie. Zabierają je.

Nomad był bardzo spokojny. Dotychczas tryskał irytującym entuzjazmem, a teraz oklapł – jak zbity tygrys.

– I co z nimi zrobią? – Bałem się zadać to pytanie. – Zlikwidują?

– Skądże! – zachnął się No-



mad. – Zabiorą je do specjalnego ośrodka, gdzie spróbują poddać... reedukacji.

– Jezu!

– Bojkot zapewnił mnie, że do tego nie dojdzie. Chce je tylko zmiekczyć.

– Dałem mu pretekst, zebrałem je w jednym miejscu – powiedziałem, próbując zebrać myśli.

Podszedł do nas Tomasz Bojkot¹. Chyba jako jedyny był w przednim nastroju.

– Pan się pospieszy, panie geodeto. Zaraz tu będą sanitariusze, a chcę, żeby wszystkie klony zdążyły podpisać protokół okazania granic.

* * *

Już na Ziemi zauważyłem, że spękania karoserii, pokrywające gęstą siatką całą rakietę, zaczęły łsnąć – zaległy się w nich maleńkie kryształki. Upokorzony przez Tomasza Bojkota¹, wykorzystany w jego podłej grze, kipiałem gniewem.

– To chyba syntetyczne diamenty – powiedział lakiernik, badając statek jakimś urządzeniem w szerokim ryjkiem. – Lakier pod wpływem ostatniego promieniowania musiał wejść w reakcję z grafenowym poszyciem. Wytrąciły się drobinki diamentów. – Głos mu lekko drżał. Wcześniej dosadnie wytłumaczyłem mu, co myślę o nim i jego pracy.

– Skąd pan wziął ten lakier?

Jeszcze bardziej się skulił.

– Szwagier przyniósł mi beczkę. Znalazł w tej starej elektrowni atomowej...

Badanie licznikiem Geigera nie wykazało nic niepokojącego. Lakiernik zaproponował, że za dar-

mo zeszkobie starą i nałoży nową warstwę farby. Powiedziałem mu, żeby się pieprzył. Chyba w końcu będę musiał ubezpieczyć tę raketę.

Kilka dni później skontaktował się ze mną starszy posterunkowy Nomad. Wszystkie klony opuściły już ośrodek, Tomasz Bojkot¹ wycofał reklamację. Wcześniej jednak pozbyły się udziałów, na których zależało mojemu klientowi. Kupił je po najniższej cenie, która nie ściągnie mu na głowę kontrolerów ze skarbowki. Nomad zapytał mnie, czy rozmawiałem ostatnio z Bojkotem¹.

– Nie, tylko przelał mi pieniądze.

– A zatem chyba wszystko dobrze się skończyło...

Rozłączyłem się. Nie miałem ochoty na dalszą rozmowę. Poza tym musiałem zanieść papiery do PODGiK-u; czas w końcu zamknąć tę sprawę.

– Och, panie Serafinie! – Pani Basia płakała, chyba dość długo, bo tusz brzydką plamą rozlał jej się po policzkach. – Pan Juliusz przechodzi z końcem miesiąca na emeryturę, a pani Danusia wyprowadza się do innego układu, bo jej mąż dostał awans. Jak tak dalej pójdzie, zamkną nasz oddział. Nie będę miała kogo obsługiwać. Tyle złych wiadomości jednego dnia! Och, panie Serafinie! Pan wie, że zawsze może liczyć na najciekawsze roboty, prawda?

Zaniosła się szlochom i skryła twarz w dłoniach.

– Pani nie płacz. – Podbiegłem do biurka, skrupowany, przeżony; nie wiedziałem, co robić.

– Bo pan nie odejdzie? – Podniosła na mnie wzrok. – Nie...

Nagle urwała i poderwała się z krzesła. Nie patrzyła już na mnie, tylko gdzieś niżej, obok. Obejrzałem się za siebie. Oblał mnie zimny pot. Od drzwi przez środek sali ciągnęły się ślady – kleksy błota w kształcie podeszew moich buciorów. Na zewnątrz padał deszcz.

Pani Basi zaczęła drżeć lewa powieka. Reszta jej ciała jakby skamieniała. Co bardziej płochliwi brali już wtedy nogi za pas. Weź się w garść, powtarzałem sobie w duchu, przecież wiesz, co masz robić.

W kącie stał mop.

Koniec

